

8 (87) 1999

ANDRZEJ PILIPIUK

CENA 5,90 ZŁ

# FENTX

FANTASY ● SCIENCE FICTION ● HORROR



Prószyński i S-ka

JELENA PIERWUSZYNA

Przełożył: Eugeniusz Dębski

# Pozwól mi odejść

(Rozieszy mnie otoji)



*W stroju błazna - równym krokiem  
Ludzi mierzy czujnym wzrokiem,  
Na fujarce czarnej gra?  
Boże, gdzie dziecina ma?  
(niemiecka ballada)*

## I.

Ten wiosenny dzień 1284 roku, gdy osierocona została połowa rodziny w mieście, dzień, o którym na całym świecie przez osiem wieków opowiadane były różne bajdy i nie bajdy, siedmioletnia Trudchen nieoczekiwanie dla samej siebie spędziła w piwnicy.

Ledwo wysunęła za bramę ojcowego domu swój ciekawski nosek, ledwo usłyszała perlisty dźwięk kropel z topniejącego śniegu i ciurkanie biegających po ulicy strumyków i wyskoczyła na spotkanie małego Rheina z Wazerem, gdy niczym jastrząb z jasnego nieba spadła na nią matula. Matka spoliczkowała ją dwukrotnie, a w następnej chwili już wlokła ją za rękę, dobrze, że nie za warkocz - przez podwórce, zupełnie nie zwracając uwagi na to, że dziecię potyka się, moczy w kałużach podolek sukienki i buty, i przemawiała: „Ach, ty zarazo mała! Mówiłam ci, żebyś się za próg nie wysuwała? Mówiłam? Chcesz mnie do grobu wpędzić?”. Trudchen ryczała. Pochlipywała i matula: „Mówiłam ci, zarazo mała? Mówiłam? Niech no wróci ojciec, niech sam cię wypuszcza!”. A dziewczynka była za mała, żeby wyczuć w głosie matki strach.

Boże, mam ją tylko jedną! Boże, tylko nie moje dziecko!

Tak więc, umieszczeniu małej przestępczyni w piwnicy towarzyszyły krzyki, szturchanie i obopólne łzy, i potem, gdy nad głową zatrzasnęła się pokrywa otworu piwnicy, Trudchen miała wrażenie, że dokola niej szalał niewielki sztorm.

Wkrótce przestała chlupać, wysmarkała się na znak protestu w piąstkę, a potem zaczęła chłodzić płonące policzki wilgotnym brzegiem sukienki. Nigdy wcześniej tak jej nie karano. Ani gdy zwinęła z ojcowego gabinetu liczydło, chcąc zmontować ślubny pojazd dla swoich lalek, ani kiedy wyrwała pęk włosów znanej skarżypycie i donosicielce Magdzie. Wtedy po prostu została bez kolacji. Nawet gdy ona, Martin i Heirun zostali przyła-

pani na kradzieży jabłek w cudzym sadzie, sprawa skończyła się na sześciu razach różgą i trzema dniami postu. Rodzice zawsze byli sprawiedliwi. Dlatego teraz niewspółmierność przewinienia i kary wstrząsnęły Trudchen.

Jeśli tylko te dzieci naprawdę nie...

Trudchen drgnęła i rozejrzała się. Nie, w piwnicy nie było strasznie. Zakratowane okno pod sufitem przepuszczało wystarczająco dużo światła, pół tuzina pękatek beczek z piwem pod ścianą połyskiwało miedzianymi obręczami. Co prawda, dziś nie radowały oczu ciemnoczerwone buraki, soczyste brązowa brukiew i złocista rzepa, nie drażniły powonienia wiązki kielbas i wieprzowych szynek pod sufitem, nie rywalizowały z nimi kiszone jabłka i kapusta w beczkach, nie pachniały słodko i upojnie suszona kapusta i marchew. Piwnica była niemal pusta, ale - mimo wszystko - sucha i... dająca poczucie pewności. A prócz tego, jesienią, kiedy stało się jasne, że po miejskich stodołach i spiżarniach harcują szczury, ojciec przywiózł z Rzymu parę gronostajów - niesłychanie złych, pięknych i strasznie drogich zwierzątek. Teraz miło było myśleć, że biegają tu, postukując pazurkami, po domu i że żadna kreatura z gołym ogonem nie wsunie tu nosa. Dobra, pewna, bezpieczna piwnica. A na ulicy rzeczywiście może być...

Byle nie szczury, prawda? Wcale nie szczury...

Głód. Tak powiedział ojciec w Boże Narodzenie. Ona, Trudchen, jak zwykle poprosiła go, by sporządził gwiazdę, chciała chodzić z dziećciakami po podwórkach i śpiewać kolędy o Dzieciątku Jezus. Ale ojciec powiedział: „W mieście panuje głód, Trudchen. Wszyscy będziemy modlić się za biedaków, ale nie powinnaś wychodzić poza bramę sama, bez dorosłych”. Zapytała: „Dlaczego?”. „Dlatego, że głód popycha ludzi do szaleństwa”. Co to znaczy „szaleństwo”, Trudchen wiedziała i zrobiło jej się strasznie. „Papo, a my?”. „Coś ty, nie bój się. Rozumiesz, Trudchen, Pan chce nas poddać próbie i zesłał nam bogaty urodzaj. Wielu ludzi było zbyt lekkomyślnych, że pilnowali swych zapasów i Pan za karę oddał zebrane ziarno szczurom. Ale wiesz przecież, że ja nigdy nie byłam lekkomyślna, jeśli chodzi o wasz dobrobyt”.

To była prawda. Gronostaje znakomicie spełniały swe obowiązki. Trudchen widziała szczury na ulicach, na sąsiednich podwórkach, nawet

w kościele, ale nigdy u siebie w domu. W zimie jadła mięso raz w tygodniu, a na wiosnę już tylko gotowaną brukiew i kaszę, ale nie głodowali. Nie, ale...

„Papo, a ci, co byli lekkomyślni, co oni jedzą?” „No, coś im tam zostało. Prócz tego dobry hrabia Henryk rozdaje wszystkim głodującym zboże. A my – ja i wielu innych szanowanych obywateli miasta – pomagamy mu”.

To też była prawda. Ale mimo to ojciec zabronił jej wychodzenia na ulicę.

Dlatego, że z głodu ludzie wariują.

Dlatego, że w mieście nie ma już ani jednego psa ani kota.

Dlatego, że słyszała, jak kucharka powiedziała do matuli: „Powiadają, że w podgrodziu już czworo dzieci zginęło...”.

Takie myśli napawały lękiem. Dlatego Trudchen opadła na kolana i zajęła się starannym badaniem piwnicy. Patyczki, szczapki, drzazgi i skorupy, oczywiście, to nie wesołe wiosenne strumyki, wodospady i tamy. Ale lepiej bawić się tym, niż myśleć o zasolonych dziecięcych rączkach i nóżkach.

Patnicy ze szczapek i patyczków dotarli już do srebrzystego palacu Pani Gronostajów, gdy Ta Muzyka dotknęła pierwszy raz dziewczynki. Właśnie tak – dotknęła, ponieważ dziewczynkę tak wciągnęło życie drzazg, że przestała słyszeć jakiegokolwiek odgłosy zewnętrznego świata. I cienka niczym ostrze sztyletu, niemal nieważka melodia przemknęła przez wąskie okienko, jak przez szczelinę w pancerzu i leciutko trąciła Trudchen w ramię. Zabiła i natychmiast wskrzesiła...

Jakby śpiewały korzenie drzew i nie rozwinięte jeszcze liście, i malutkie błękitne węże pilnujące głęboko w trzewiach ziemi skarbów, i gołębie mieszkające pod dachami domów...

Właściwie – te, które mieszkają, dlatego, że łatwo jest zrobić procę, a z głodu ludzie wariują.

I srebrne dzwony srebrnego palacu wydzwaniały tę samą melodię, zapraszały w gościnę Biednego Skrzypka i jego skrzypce.

Ale nie są to skrzypce, prawda, a flet?

A muzyka naprawdę wzywała, odbiegała na trzy kroki, wracała, ponaglała, no bo skoro już umarła i zmartwychwstała, to jaki sens ma pozostawanie tutaj?

stawanie tutaj? Tu, gdzie gronostaje pożerają szczury, ludzie – gołębie, przewidujący – lekkomyślnych, dorośli – dzieci? Po co, skoro istnieje droga do zaczarowanego lasu? Skoro tylko po to, by wypatrzeć prowadzącą tam drogę zapala się bożonarodzeniową gwiazdę czy letnie ogniska? Ale mimo tego nikt tej drogi nie zauważa, i tylko muzyka wie wszystko i dzieli się tą wiedzą bez namysłu, szczerze, jak wiosenne niebo – deszczem. Trzeba tylko umrzeć i zmartwychwstać, i iść, i wzgórze uznają cię za swoją i rozstąpią się przed tobą.

A potem przed oczami pojawiły się maszerujące buty. Najpierw jakieś stare, rozłażące się, miaskające na każdym kroku buciory, a potem małe drewniane saboty, wyrzeźbione ręką czyjś kochającego ojca, potem jakieś eleganckie buciczki – Martina?! – a potem po prostu stare znoszone buty, z których wysuwały się posiniałe z zimna palce, potem strasznie drogie aksamitne pantofelki – Heirun?! – i znowu małe saboty, i nawet, chyba, przemknęła malutka dziecienna kula, i znowu nogi, następne, następne...

A potem stało się to, na wspomnienie czego Trudchen ogarniał palący wstyd. Jakże tłuła się ona o piwniczne okienko i jak krzyczała! Najpierw jeszcze coś sensownego: poczekajcie! zabierzcie mnie! – a potem już wrzeszczała bez słów, jak niemowlę czy noworodek, a jeszcze później – po prostu ryczała jak zwierzę. I nawet po czterdziestu latach, kiedy stara już Gertruda słyszała nawoływania marcowych kotów, uderzały w nią wspomnienia i zaczynały płonąć zaczerwienione policzki.

## 2.

Jesienią 1324 roku, tak samo jak dwieście lat wcześniej, jak i sześćset lat później, pielgrzymi, zmierzający do Santiago de Compostella, zatrzymywali się na nocleg w Kolonii.

Miasto obojętnie przepuszczało je przez siebie, pozwalało spędzić noc pod swoimi dachami, pozostawić modlitwy i wstążki w pięćdziesięciu swych kościołach: zamrzeć na kilka chwil przed Katedrą. Dla pielgrzymów miasto było tylko jeszcze jednym kawałkiem świętości, małym stopniem na drodze do Morza i Państwa Bożego Na Ziemi. Dla miasta pielgrzymi byli stadkiem płochliwych wróbli, miotających się po jego ulicach



i szczebioczących w niezrozumiałych językach. Ani ludzie, ani miasto nie interesowali się swoimi historiami.

Kolonia była powolną nieruchawą istotą, która rosła na niskich brzegach mętnej i zielonej rzeki, „uważając, że wieki są latami”. W dzieciństwie piastowali ją i niańczyli rzymscy legionści. W młodości miasto służyło Karolowi Wielkiemu, broniło „królewskiej drogi” – Renu. W tym czasie nawet imperator Franków nie ważył się bez szczególnej potrzeby wędrować po lasach. Później, jak przystało na dojrzałego męża, miasto oparowała teologia. Jego nowi przyjaciele – Albert Wielki i Tomasz z Akwiny stworzyli prawa, według których Bóg i Człowiek w Europie mieli być przez co najmniej jeszcze siedem wieków.

Ale tuż obok, w dominikańskim kościele, znalazł się jeszcze jeden przyjaciel Kolonii – Meister Eghardt, nauczał on, że przed ludzką myślą, przed „udręką Ducha” upadają i rozsypują się w proch wszystkie niebieskie i ziemskie prawa, i człowiek pozostaje twarzą w twarz z Tym, Którego uważa za Boga, i widzi, że są oni sobie równi. Za takie słowa, oczywiście, Mister Ekhardt był, pięć lat później po opisywanych wydarzeniach, osądzony i zapomniany.

I nie on jeden. Na starość, a od starości dzielą je tylko dwa-trzy wieki, osiadłe w marazmie miasto będzie przeganiało i tępiło najmniejszy cień wolnomyślicielstwa w dowolnym zakątku Niemiec. Teologowie Kolonii nie raz zhańbią siebie w oczach całego świata. Malarze Kolońscy stracą umiejętność malowania światła i ruchu. Przeznaczenie rzuci jego los na szalę przeciwko losowi stolicy Reformacji – Wittenbergi, i Kolonia upadnie nisko, niziutko.

Ale to jeszcze nie teraz; nie wiedząc, co je czeka, miasto budowało swoją Katedrę. Budowało ją na chwałę nauk Alberta i Tomasza, ale Katedra w jakiś sposób potwierdzała racje Mistrza Egharda. W brudnym i śmiertelnie niebezpiecznym trudzie kamieniarzy rodziło się чудо. Na brzegu Renu kwitł kamienny kamień, oddychał i rósł jednocześnie we wszystkich czasach i we wszystkich światach, zawijał przestrzeń, zmienił każdą sekundę życia w śmierć i śmierć w życie. I mimo że dwie słynne wieże, o których Heinrich Böll powie w dwudziestym wieku „wyżej niż niebo, najwyższa wysokość”, jeszcze nie były zbudowane, nawet teraz

ludzie, którzy po raz pierwszy ją widzieli, musieli wydać krótki okrzyk zachwytu i – chyba – strachu.

Ta gotycka fantasmagoria zadziwiała pielgrzymów, większość nich pośpiesznie odwracała się i śpieszyła do zwyczajniejszego Świętego Andrzeasa, Świętej Urszuli czy Świętego Georga. Mniejsza część stała osłupiała, potem ludzie w milczeniu rozchodzili się, oglądając jeszcze przez ramię. Wydawało się, że linie ich życia uderzają o Katedrę i ledwo zauważalnie zmieniają kierunki.

Tak więc, jesienno dnia 1324 roku przed Katedrą stała niemłoda kobieta. Ubrana była po miejsku, ale zwyczajnie i niebogato. Ale trzy obrączki na lewej ręce – zaręczynowa, ślubna i wdowia, wyglądały na wykonane z prawdziwego złota, a kobieta ich nie zdjęła, jakby rzuciła wyzwanie wszystkim rozbójnikom na wszystkich drogach.

Uśmiechnęła się do Katedry, jak uśmiecha się człowiek znajdując na strychu swoje dziecinne zabawki, i nie wstępując już do żadnej z licznych kolońskich świątyń, poszła szukać pokoju na nocleg. Po godzinie już ulokowała się w zajeździe „Pod Maurem”. Rysunek jego głowy na szyldzie, kędzierzawej, twarzy z czerwonymi ustami i wyraźnymi białkami oczu, też przypominał jej coś z dawnych lat.

Nadszedł wieczór. Korony drzew jeszcze kąpały się w promieniach słońca, ale na domy i bruk już wyłożyła się złotawa pajęczyna zmierzchu. Kobieta, stojąc przy oknie gospody, zaniepokoiła się, poruszyła głową niczym gończy pies, pośpiesznie zeszła po ciemnych schodach, wyszła za bramę, skręciła za róg i pobięła, nieco unosząc spódnicę, stawiając czubki butów lekko i swobodnie, jak młoda kobieta. Dźwięk, który ją zaniepokoił, był ledwo słyszalny, niemal przeźroczysty, ale zbyt długo oczekiwała tego spotkania, by przepuścić je z powodu jakiegoś głupiego niedowierzania, niewiary czy nie mniej głupiego zdrowego rozsądku.

Przy następnym zakręcie przyglęła do ściany domu i ostrożnie wyjrzała za róg. Na kamiennej czaszy fontanny, która dostała się miastu, zapewne jeszcze w prezencie od Rzymian, siedział nader podejrzany staruch w brudnym kapeluszu i grał coś na czarnej fujarce. A przed nim na jezdni tańczyły dwa grube szczury.

Kobieta stąpała tak lekko, że szczury spłoszył dopiero szelest jej

spódnic. Stworzenia rzuciły się do ucieczki, wystraszony staruch popatrzył w górę, na nieproszonego gościa.

- Oto w końcu cię znalazłam - powiedziała kobieta.

Starzec zaslonił twarz ręką, jakby chciał się bronić.

- Proszę mi wybaczyć, nie pamiętam, niczego już nie pamiętam, pani - zaczął mamrotać, wyraźnie pragnąc uciec drogą szczurów.

A wtedy kobieta wypowiedziała krótką jak wdech nazwę swego rodzinnego miasta:

- Hammeln.

Starzec nastroszył się jeszcze bardziej.

- Czy tam było twoje dziecko? - zapytał w końcu przybitym głosem.

Gertruda cicho roześmiała się.

- Czy ja wyglądam aż tak staro? Miałam wtedy około siedmiu lat, jakieś czterdzieści lat temu. Za drobne przewinienie osadzono mnie w zamknięciu... Dlatego jestem niemal jedynym dzieckiem, które zostało w Hammeln, po tym dniu.

Starzec chwycił Gertrudę za dłonie.

- Proszę mi uwierzyć, pani, ja sam z boleścią wspominam to, i żaluję, strasznie żaluję. Proszę mi uwierzyć, to był głupi żart. Tak się rozeźliłem, że nie zapłacono mi. Sama pani wie, że dla biednego człowieka to straszliwa strata, gdy ktoś mu nie zapłaci... A ja byłem młody, głodny i postanowiłem, że ich postraszę. Ale nikogo nie topilem, o nie, proszę mi wierzyć! Po prostu odprowadziłem dzieciaki jakieś pięć mil od miasta i puściłem. A one rzuciły się do ucieczki! Ja do nich krzychałem: „Dzieci, czy wście zwariowały? Miasto jest w tamtym kierunku!“. Ale one nie słuchały! Na dodatek te starsze jeszcze obiecały, że mnie pobiją, jeśli się nie odcepię. „Nie pchaj się - mówiły - w nie swoje sprawy, żebroto błotna“. Widocznie bardzo nie chciały wracać do miasta.

- Głód popycha ludzi do szaleństwa - wymamrotała Gertruda. W ciągu czterdziestu lat widziała takie rzeczy nie raz i wcale się nie dziwiła.

- Proszę mi wybaczyć, pani, ja nie chciałem - ciągnął starzec.

- Ależ poczekaj - powiedziała Gertruda. - Bóg z nimi, z dziećkami. Nie chciały do miasta wracać, znaczy - tak im było sądzone. Nie chcę ci wybaczać, a proszę o coś. Otwórz jeszcze raz dla mnie Drogę.



- Jaką Droge? - zapytał starzec. - Dokąd Droge?

- Skąd mam wiedzieć? Droge, która prowadzi tam, dokąd wzywała twoja muzyka. Przez wzgórze, czy też przez czarodziejski las, czy przez wody rzeczne, jeśli tak się zdarzy. Najważniejsze - żeby wynieść się stąd.

- Po co? - zdziwił się staruch. - Małe dzieciaki łatwo jest skusić jakimiś drobiazgami, można je zaprowadzić gdzie się tylko chce. Ale po co to tobie?

Gertruda usiadła obok niego, objęła kolana rękoma.

- Przede wszystkim dlatego, że gdzieś istnieje takie miejsce. Wiesz, że u nas teraz tę ulicę, po której szedłeś, nazywają Cichą Ulicą? Nigdy się na niej nie tańczy i nie gra tam muzyka. Nawet gdy z kościoła wracają nowożeńcy, to na tej ulicy muzykanci przestają grać. Powiadają, że to z żalu za dziećmi. A ja sądzę, że również dlatego, że tam twoja muzyka do dziś rozbrzmiewa, a przy niej inna brzmi niepoważnie. Gdy wychodziłam za mąż, też jechaliśmy tamtędy w ciszy. A ja myślałam wtedy: to znaczy, że jest jakieś inne miejsce. Gdzie wszystko jest inne niż tu. Jakie - nie wiem, ale chciałabym wiedzieć. I kiedy nosiłam w łonie swoje dzieci, a potem niańczyłam je, ciągle żalowałam, że nie mogę ani im o tym zaśpiewać, ani opowiedzieć, bo nie znam takich słów.

- Czy źle ci się żyło? Nie wyglądasz na biedną.

Gertruda znowu się roześmiała.

- Dlaczego źle? Dobrze mi się żyło. Mąż handlował, ciągle był w rozjazdach, więc byłam naprawdę panią w domu. Miałam przyjaciela przez jakiś czas, wesoly był, czuły, jak brat rodzony. Osiem razy rodziłam. Czworo dzieci wyżyło. Teraz jeden w Italii jest kupcem, drugi też jest w Italii, córka i synowa już mają dzieci. Tylko co dalej? Oni muszą żyć po nowemu, a ja swoje życie, chyba już przeżyłam.

- Więc co, do raju chcesz się dostać przed śmiercią?

Gertruda w gniewie tupnęła o bruk.

- Zartujesz sobie ze mnie? Myślisz, że jeśli idę do Santiago, to martwię się o swoją duszę? Przecież ja nie muszę do Santiago, ja muszę wyrwać się z domu. O raju i piekle od czterdziestu lat opowiadają mi co niedzielę i dodatkowo w święta, więc wszystko o nich wiem, nawet jeśli tam nie byłam. Piekło - to coś, jak nasza ulica: jedną krzyżę bolą, drugą

mąż bije, trzecia ma syna hulakę. Wszyscy siedzą w swoich kotlach, gotują się i rozmawiają ze sobą. A raj - to to samo, tylko dokoła wszystko nagle stało się dobre. I synalek porządny, i mąż spokojny, i plecy nie dokuczają. Wszyscy śpiewają z radości, a dokoła rosną jabłonie. Ale po co mi to, skoro słyszałam twoją muzykę?

- Ależ nie jest to moja muzyka! - krzyknął nagle starzec. - Nie moja, rozumiesz? Ja ją tylko gram, a o czym gram, sam nie wiem. I nie znam żadnej drogi! Nie topilem dzieci i nie prowadziłem przez wzgórze! Truję tylko szczury! Rozumiesz - szczury!

Gertruda błyskawicznie znalazła się na ziemi i przypadła do jego kolan.

- Ale muzyka była, prawda? - zapytała cicho. - Wszak ty też muzykę słyszysz? Więc zagraj jeszcze raz. Zrozumię, że ja tu siedzę jak w kotle pod pokrywką. Przeżyłam już swoje, a umierać nie chcę. Chcę dalej żyć. Zagraj dla mnie, proszę. Pozwól mi odejść.

Starzec zaklął niewyraźnie.

I znowu nieprawdopodobna, bezdomna melodia kręgami popłynęła ponad ziemią, jakby ktoś wędrował w mroku, smucił się, szukał utraconego skarbu, rozpaczał, ale wracał i zabierał się do poszukiwań. Jakby pies przemierzał ulice, wywąchując ślady pana. Jakby ptak przelatywał z drzewa na drzewo, szukał pisklęcia, które wypadło z gniazda. A potem flet zakrzyknął zdziwiony i uradowany i zamikł.

\*\*\*

Właściciel „Maura” czekał trzy miesiące, ale jego gość nie wrócił po swój podróżny worek. Potem machnął ręką, postawił na wszelki wypadek grubą świecę Najświętszej Dziewicy i podarował lniane koszule i wełniane spodnice Gertrudy swoim chrześniaczkom na Boże Narodzenie. ■